

Katalonia i kryzys neoliberalizmu

29 grudnia 2017

21 grudnia odbyły się w Katalonii wybory do lokalnego parlamentu narzucone siłą przez rząd Mariano Rajoya w Madrycie (pierwszy raz w historii zastosowano art. 155 postfrankistowskiej konstytucji pozwalający rządowi centralnemu zawiesić autonomię regionu i przejąć nad nim bezpośrednią kontrolę). Frekwencja była niezwykle wysoka – głosowały cztery piąte uprawnionych. Głosując w takiej liczbie, Katalończycy obalili jeden z centralnych wątków skierowanej przeciwko separatystom kampanii propagandowej prawicowego rządu w Madrycie i głównych ogólnohiszpańskich mediów: że niepodległości Katalonii żąda hałaśliwa mniejszość populacji regionu, która agresywnie odebrała przestrzeń publiczną „milczącej większości”.



Tymczasem żadna milcząca większość nie istnieje – trzy proniepodległościowe bloki wyborcze zdobyły większość w parlamencie, i to pomimo ofensywy politycznej i propagandowej mającej na celu zniechęcenie Katalończyków do ich pomysłów. Włącznie z wsadzeniem ministrów rozwiązanego rządu i innych przywódców politycznych do więzienia oraz pogrózkami pod

adresem odwołanego przez Madryt przewodniczącego autonomii Carlesa Puigdemonta.

Radykalna lewica straciła trochę w parlamencie, najpewniej w wyniku kombinacji dwóch czynników: głosowania strategicznego i głosowania na „relegitymizację” rozwiązanego przez Rajoya rządu Katalonii. Katalończycy, z którymi rozmawiałem, o poglądach na lewo od centrum, planowali lub rozważali głosowanie na partię Puigdemonta z tych względów: nie chcieli ograniczyć szans separatystów na powrót do władzy przez głosowanie na zbyt małe ugrupowanie, bądź chcieli dać swój wyraz przekonaniu, że Rajoy, którego partia ma w Katalonii śladowe poparcie, rozwiązując rząd Puigdemonta dopuścił się w Barcelonie antydemokratycznego bezprawia, zamachu stanu. Innymi słowy, że demokratyczny mandat Puigdemonta nie wygasł przed upływem jego pełnej kadencji i decyzja o tym nie należy do Mariano Rajoya. Jego Partido Popular uzyskała jedynie 5 proc. głosów.

PATRZĄC Z BARCELONY

Większą część roku 2017 mieszkałem w Barcelonie. Stamtąd przyglądałem się, jak kryzys kataloński rozumiany i relacjonowany był w Polsce. Po mediach głównego nurtu, które od dawna nie interesują się światem, nie mają zagranicznych korespondentów i dumnie przyznają, że dużym wydarzeniom i procesom w polityce międzynarodowej nie poświęcą nigdy więcej niż jeden tekst, nie spodziewałem się niczego lepszego. Zasmucające było jednak, jak daleko na lewy biegun polskiej polityki sięgały powierzchowne klisze rodem z neoliberalnych mediów. Ubolewania nad „mnożeniem granic i podziałów w Europie”, „kolejną falą populizmu i nacjonalizmu” (w jednej beczce z Trumpem i madame Le Pen), oczywiście „niezgodne z prawem”, „niereprezentatywne i w ogóle o co im chodzi, „przecież mają autonomię”.

Nie, o racji w polityce nie decyduje zgodność dążeń, postulatów czy przyjętej praktyki z obowiązującym porządkiem

prawnym. Stawki polityki przed duże P bywają poważniejsze, często jest to właśnie walka z tymże porządkiem o jego postępową zmianę. Toutes proportions gardées, ale niezgodna z prawem była kiedyś walka z niewolnictwem czy pomoc człowiekowi, który uciekł z niewoli na plantacji, podobnie jak gdzie indziej pomoc człowiekowi, który pragnął uciec przed deportacją do obozu koncentracyjnego. Niezgodna z prawem była walka z apartheidem tam, gdzie prawem był apartheid. Wiele praw, którymi dziś się cieszymy, zawdzięczamy temu, że ktoś kiedyś obowiązujące prawo łamał, żeby je nam wywalczyć.

To rząd w Madrycie uczynił niemożliwym postępowanie w pełni w zgodzie z hiszpańskim prawem, w które wpisana jest de facto święta nierozzerwalna jedność terytorialna Hiszpanii. To rząd w Madrycie odmawiał nie tylko kompromisów, ale nawet rozmów. To Madryt (z osobistej inicjatywy Rajoya) zawiesił w 2010 znowelizowany statut katalońskiej autonomii, to Madryt lekceważył poprzedni, niewiążący prawnie plebiscyt, dowód nastrojów społecznych w Katalonii. To także Madryt sprawił, że policzone w referendum głosy nie przekroczyły progu 50 proc. uprawnionych do głosowania – nie tylko utrudniał głosowanie, ale też skonfiskował kilkaset tysięcy oddanych głosów.

Nie, Katalończycy, w tym ci o przekonaniach lewicowych, nie dali się zbałamucić politycznemu cwaniakowi. Jest nawet wręcz przeciwnie – Carles Puigdemont jest umiarkowanym centroprawicowym politykiem, który nigdy nie miał radykalnych ambicji z przekonania. To on stał się zakładnikiem znacznie bardziej radykalnego ludu i czuł, że musi uginać się pod nastrojami społecznymi. Dlatego w okresie tuż po referendum z 1 października tak długo kluczył i lawirował, a z ogłoszeniem niepodległości zwlekał prawie cztery tygodnie – zupełnie nie wiedział, co dalej robić, być może nawet miał nadzieję, że nastroje opadną i będzie jeszcze miał jakąś szansę się z tego rakiem wywinąć. Katalońscy zwolennicy niepodległości nie są pod żadnym urokiem Puigdemonta, polityka bez charyzmy, unoszonego falą wydarzeń i wolą ludu. Nawet ci głosujący na

jego partię, strategicznie czy z przekonania, robią sobie z niego żarty (moim ulubionym jest mem „Puigdemont bez okularów”).

Tak, całkiem możliwe, że kataloński separatyzm przez kilkadziesiąt lat postfrankistowskiej liberalnej demokracji był kreowany trochę odgórnie przez władze autonomii, które reagując na represje z czasów Franco kładły wyjątkowy nacisk na kulturową odrębność Katalonii, pierwszeństwo języka i ekspansję autonomicznych struktur politycznych. Jeszcze dekadę temu miażdżącej większości Katalończyków wystarczała autonomia. Idee niepodległościowe nagle podzielać zaczęła większość Katalończyków w odpowiedzi na kryzys 2008 roku i jego polityczne konsekwencje. I nie, wcale nie w taki sposób, w jaki prawicowy populizm żeruje na skutkach kryzysu w innych krajach Europy i w USA.

KATALOŃSKI NACJONALIZM – LEWICOWY I KOSMOPOLITYCZNY

Kataloński separatyzm to nie jest prawicowy, reakcyjny, integrystyczny, rasistowski nacjonalizm w rodzaju Młodzieży Wszechpolskiej czy francuskiego Frontu Narodowego. Jakkolwiek trudno to pomieścić w kategoriach nadwiślańskiej wyobraźni politycznej, jest to nacjonalizm kosmopolityczny i lewicowy, rzecz wcale nie tak rzadko spotykana w kulturach języków iberyjskich, zwłaszcza w kulturach zdominowanych przez mocarstwowe dążenia i mocarstwową nostalgię Madrytu. Katalończycy są trochę jak Baskowie, z tą różnicą, że w przeciwieństwie do baskijskiego ich język jest romański i stosunkowo zrozumiały dla Hiszpanów. Jedni i drudzy stanowią społeczeństwa o najbardziej postępowej kulturze politycznej w Hiszpanii, bynajmniej nie od wczoraj. To już tamtejsza tradycja.

Popularne młodzieżowe lokale w Barcelonie pełne są lewicowych symboli. Związki zawodowe wszędzie widać (zaangażowały się w obronie ważności referendum). Ludzi, którzy zamiast na imigrantów pomstują na „ten pieprzony kapitalizm”, nie trzeba

szukać na samym końcu internetu, spotyka się ich przypadkiem i przy okazji, na ulicy i w miejskim ośrodku sportowym. O tych, którzy do Katalonii przybyli z innych części Hiszpanii lub z innych części świata, nie mówią jak o obcych, a jako o „nowych Katalończykach” i jako takich zapraszają ich do udziału w ulicznych demonstracjach niepodległościowców, żeby reprezentowali kosmopolityczną tożsamość współczesnej Katalonii. Nawet po zamachu terrorystycznym na La Ramblę nikt nie wybijał muzułmanom szyb w oknach, zamiast tego miały miejsce przejmujące publiczne gesty kulturowej i religijnej tolerancji. Do tego wszystkiego Barcelona jest jednym z najbardziej najbardziej przyjaznych osobom LGBT miejsc na świecie.

Ustawianie katalońskiego separatyzmu w jednym rządzie ze współczesnymi prawicowymi populizmami jest obraźliwe dla Katalończyków. Prawicowi populiści, agresywni nacjonałiści, reakcjoniści tęskniący za Franco, czczący króla i Kościół, owszem, występują w kryzysie katalońskim w dużej liczbie – po przeciwnej stronie konfliktu, po stronie premiera Rajoya i obrońców świętej jedności Hiszpanii.

Nie, Katalończycy nie chcą się oderwać od Hiszpanii, żeby się nie dzielić z biedniejszymi prowincjami kraju – to, że tak mówią wielkie media neoliberalnego skrajnego centrum, nie znaczy, że to prawda. Oczywiście, znajdują się i tacy, wśród katalońskich sił politycznych jest i miejscowa neoliberalna burżuazja. Jakoś nigdy nie spotkałem jednak na mieście zwolennika niepodległości, który by użył tego argumentu. Słyszałem za to: „Nie chcę już dłużej żyć w monarchii, jest XXI wiek, chcę żyć w demokratycznej republice, skoro nie da się tego zrobić w ramach Hiszpanii, to niech to będzie niepodległa republika w samej Katalonii”. Albo: „Nie chcemy dalszego niszczenia naszych praw społecznych, podporządkowani nieusuwalnemu prawicowemu rządowi w Madrycie i archaicznej burbońskiej dynastii nie mamy żadnych szans na ich długofalową obronę”. Kluczowa dla utrzymania przez separatystów większości

parlamentarnej radykalnie lewicowa partia CUP jako warunek swojego poparcia dla projektu niepodległościowego podaje, że w okresie przejściowym niepodległości, Katalonia będzie się dokładać do rozwoju najbiedniejszych regionów Hiszpanii.

Katalończycy dopisali się en masse do projektu separatystycznego, gdy zrozumieli, że w warunkach postfrankistowskiego porządku konstytucyjnego kryzys ekonomiczny 2008 roku i wymuszona potem (od 2011) przez Brukselę i Berlin polityka drastycznych cięć pociągnęły za sobą jedynie rekonsolidację najbardziej reakcyjnych sił w ramach hiszpańskiego porządku politycznego – coraz bardziej autorytarnej neoliberalnej prawicy, Kościoła, monarchii i europejskiej finansjery wymuszającej politykę zaciskania pasa, ratowania banków i transferu bogactwa w górę. Katalończycy chcą się dzielić z biedniejszymi regionami Hiszpanii – nie chcą natomiast własnym ubożeniem (Katalonia może i jest najbogatszym regionem Hiszpanii, ale też szczególnie dotkniętym polityką zaciskania pasa po 2011) dokładać się na bonusy bankierów w Madrycie i Frankfurtach. Katalończycy trafnie rozpoznali, że hiszpański porządek konstytucyjny, zaprojektowany tak, żeby między innymi umożliwić faszystowskiemu elitom z okresu dyktatury Franco przetrwanie okresu demokratycznej transformacji na uprzywilejowanej pozycji, pomyślany jako tymczasowy, gdy powstawał, a jednak nigdy odtąd nieruszony, betonuje stosunki władzy, po których można się dziś spodziewać tylko coraz bardziej reakcyjnej i coraz bardziej brutalnej polityki. Uznali więc, że ich jedyną szansą na realizację postępowej polityki (jej przykładem była sama oddolna mobilizacja społeczeństwa w okresie referendum) jest wyłamanie się z tego porządku przez zerwanie z państwem hiszpańskim.

Czy separatyzm małych narodów to jest najbardziej idealny sposób na stawianie oporu neoliberalizmowi i jego nowym represyjnym reżimom? – to może było kiedyś dobre pytanie, ale zanim mleko się rozlało. W polityce rzadko mamy luksus

poruszania się w idealnej sytuacji, działać trzeba w takiej, jaką mamy. Katalończycy odmówili poddania się fatalizmowi i zamiast czekać na Godot, czyli aż siły lewicowe w całej Hiszpanii podniosą głowy i wywrócą w końcu postfrankistowski porządek konstytucyjny, otwierając możliwość postępowej zmiany i wyjścia poza neoliberalizm, postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i spróbować przekształcić przynajmniej swój własny, mały kraj, jednocześnie proponując nowe otwarcie innym postępowym siłom w Europie.

Zgadzam się z Angeliną Kussy, piszącą z Barcelony na łamach Nowych Peryferii, że paradoksalnie, jeśli Katalończykom się uda, i jeszcze pociągną za sobą inne siły separatystyczne w Hiszpanii, zwłaszcza Basków, to podniosą szanse na radykalne postępowe zmiany w całej Hiszpanii. Taki wstrząs rozbije nawet najtwardszy instytucjonalny beton w Madrycie, otworzy przestrzeń polityczną dla sił spoza postfrankistowskiego duopolu PP-PSOE, wymusi inwestycje w rozwój zacofanych regionów Hiszpanii, a tym samym znaczące przeobrażenie całej jej struktury społecznej. Jak dobrze pójdzie, może nawet ktoś zabije króla, realnie lub symbolicznie.

RAJOY I WŁADCY EUROPY

Nie, premier Mariano Rajoy nie był po prostu niezdarny i niekompetentny w tym, jak odpowiedział na kryzys kataloński. On wiedział, co robi i metodycznie robił to, co długo zamierzał i planował. To było to, co jego elektorat lubi najbardziej. Hiszpania nie ma w parlamencie sił otwarcie skrajnie prawicowych, jako jeden z nielicznych dziś krajów w UE, ale głównie dlatego, że od momentu jej założenia przez byłych funkcjonariuszy reżimu generała Franco, miejsce dla sympatyków skrajnej prawicy znajdowało się zawsze w łonie konserwatywnej PP.

Uderzenie w katalońskich separatystów w tak brutalny sposób nie było żadnym zaburzeniem w normalnym funkcjonowaniu hiszpańskiego państwa, a kulminacją represyjnego trendu, który

PP rozwijała, reagując siłowo na wszystkie protesty przeciwko neoliberalizmowi na sterydach implementowanemu hiszpańskiemu społeczeństwu od 2011 roku. Rajoyowi nic nie wyrwało się spod kontroli, rząd PP dążył do tego, żeby kryzys kataloński przerodził się w brutalne użycie siły. Tysiące hiszpańskich policjantów, których desant spadł na Katalonię tuż przed referendum, kiedy było już wiadomo, że regionalna katalońska policja, Mossos d'Esquadra, nie będzie wykonywać rozkazów Madrytu (zamykać komisji, konfiskować kart do głosowania, zatrzymywać głosujących), były ponoć celowo rekrutowane w regionach Hiszpanii, które mają długą historię ksenofobicznej niechęci do Katalończyków. Nadużycie przez nich przemocy było w planie.

Tak samo nie było nic niezwykłego w tym, jak zareagowała Unia Europejska i rządy poszczególnych jej państw członkowskich. Nie zareagowała albo ukryła się za okrągłymi formułkami o wewnętrznych sprawach Hiszpanii.

Rajoya łączy z europejskimi klasami panującymi wspólny interes. Katalońskie referendum wydarzyło się, gdy po zwycięstwie Macrona we Francji i porażce prawicowych populistów w Holandii wielcy książęta europejskiego neoliberalizmu już oddychali z ulgą, że po irracjonalnych wybrykach referendum brexitowego, wyborów w Polsce i w USA przynajmniej w jądrze europejskiego kontynentu udało się zapanować nad „nie-rozumem” ludów i przymusić plebs do głosowania z powrotem, „jak należy” (we Francji przez wypromowanie elokwentnej faszystki jako jedynej alternatywy dla przedstawiciela banków). A tu znowu jacyś separatyści, na miłość boską! Ryzyko, że Katalonia akceleruje kolejną falę wstrząsów w całej Europie, musieli traktować poważnie. Rajoy realizował interes europejskich klas panujących, być może nawet polecenia, ale te wcale nie były konieczne: książęta neoliberalizmu zamieszkują wspólne teatrum publicznych gestów i jedną chmurę milczących założeń, więc kiedy trzeba, rozumieją się bez słowa.

OSTATNIE REFERENDUM NEOLIBERALIZMU

Co, jeśli dla władców Europy stawką w kryzysie katalońskim jest, by 1 października 2017 był już ostatnim neoliberalnym referendum? Książęta neoliberalizmu mają już dosyć europejskiego ludu. Nie chcą więcej zawracać sobie głowy tym, co lud myśli, co uważa, i czego by chciał, odkąd przestał myśleć, uważać i chcieć tego, co mu się tak starannie tłumaczy za pomocą wszystkich dostępnych masowych środków perswazji. Lud ma robić to, co mu każą książęta, a nie mieć jakieś własne zdanie. Głosowania były dobre, kiedy dało się przewidywać i panować nad ich rezultatami.

W tej perspektywie Katalończycy znaleźli się na pierwszej linii frontu znacznie przerastającego rozmiary ich wymarzonej republiki, frontu, na którym rozstrzygnie się przyszłość nas wszystkich w Europie. W pewnym sensie stawką ich walki też jest to, aby 1 października 2017 okazał się w perspektywie czasu ostatnim neoliberalnym referendum – tyle że zupełnie inaczej. Tym referendum, które wyznaczy początek końca neoliberalizmu w Europie – będą jeszcze potem referenda, to neoliberalizm skończy się wreszcie w Europie. Jeśli przegrają, niepowstrzymywani już przez nikogo książęta neoliberalizmu zamienią Europę w brutalną ponadnarodową dyktaturę bankierów.

Lewica, która niestrudzenie dzieli włos na czworo i zamiast po stronie Katalończyków staje w jednym szeregu z pogrobowcami generała Franco; z rodziną rozpuszczonych francuskich pajaców zasiadającą w XXI wieku na anachronicznym tronie w Madrycie; z dysponentami wielkiego kapitału, którzy zagrozili ucieczką z Katalonii; z prawicowym rządem, który spuścił uzbrojoną policję na staruszki zmierzające do urn do głosowania i do dzisiaj trzyma w więzieniu lokalnych polityków za to, że próbowali wypełnić wolę ludu, grożąc tym samym przywódcy sił separatystycznych, jeśli tylko wróci z Brikseli – taka lewica ma poważnie zaburzony kompas aksjologiczny.

Co, jeśli najbardziej nieodpowiedzialnymi utopistami w Europie

są dzisiaj właśnie owi umiarkowani, racjonalni, rozsądni obrońcy europejskiego status quo, którzy z uporem godnym lepszej sprawy zwalczają wszystkich zbyt radykalnych kontestatorów – w obronie istniejących struktur władzy, sojuszu burżuazji narodowych z instytucjami UE, które jakoby kiedyś, za sto lat albo tysiąc, uda się zreformować. Co, jeśli żaden scenariusz nie jest dzisiaj bardziej nierealistyczny, żeby nie powiedzieć bardziej niepoważny, niż ten, że obecne europejskie struktury władzy – zaprojektowane przecież jako formalne ramy neoliberalnego reżimu akumulacji kapitału – mają przed sobą jakąkolwiek stabilną przyszłość? Co, jeśli w warunkach ostatecznego strukturalnego kryzysu systemu kapitalistycznego, prawdziwe pytanie nie brzmi już dawno, czy Unia Europejska jako stabilna i funkcjonująca struktura się utrzyma, czy upadnie, tylko – w jaki sposób i w którą stronę upadnie? W prawo (najpewniej w stronę brutalnej, ponadnarodowej dyktatury bankierów, głównie niemieckich, której peryferie zostaną wyprzedane i splądrowane na podobieństwo Grecji) czy w lewo (wyjścia poza neoliberalizm, poza kapitalizm, w stronę systemu choć trochę mniej niesprawiedliwego i możliwego do ekologicznego utrzymania)? Co, jeśli owi umiarkowani, racjonalni, rozsądni obrońcy status quo, jak dzieci wciąż wierzący, że Unię Europejską jakimś cudem zreformują, byle tylko udało się ją obronić i utrzymać, są właśnie najskuteczniejszymi pożytecznymi idiotami sił, które dążą do wywrócenia istniejących europejskich rozwiązań instytucjonalnych daleko w prawo (bo pomagają im dyskredytować poszukiwania prawdziwych alternatyw)?

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Zdjęcie: [Teresa Grau Ros](#) (CC BY-SA 2.0)

Źródło: [Strajk.eu](#)